Widmo wojny nie czyni protekcjonizmu cnotą

Autor: **Ian Golan**

Wolny handel jest w odwrocie. Z każdym dniem jego dawni sojusznicy wykruszają się, a jego pozycja na arenie międzynarodowej staje się coraz słabsza. Wystarczy wspomnieć choćby, jak wiele trudu i lat kosztowało Komisję Europejską wynegocjowanie i tak okrojonego oraz obwarowanego protekcjonistycznymi ustępstwami porozumienia z krajami Mercosur, tylko po to, aby po ćwierćwieczu negocjacji jego ratyfikacja utknęła na kolejne lata przed Trybunałem Sprawiedliwości UE.

Zmiany tej nie da się powiązać z powstaniem jakiejkolwiek nowej teorii ekonomicznej czy też przełomem w badaniach nad efektami ceł. Światowy odwrót od wolnego handlu jest wydarzeniem w pełni niezależnym od nauk ekonomicznych i zjawisk gospodarczych.

Pokutującą w Polsce jest nasza, „swojska", odmiana protekcjonizmu, która w wielu swych postaciach zasadza się na roztrząsaniu tego, co wydarzy się w przypadku scenariusza wojny.

I tak, szybko okazuje się, że potrzebujemy ceł i limitów na produkty rolne z zagranicy, które zagrażają naszemu bezpieczeństwu żywieniowemu. Że nie możemy żyć bez subwencji dla rolnictwa, gdyż w odróżnieniu od wszelkich innych firm w tym kraju ta jedna branża funkcjonować musi w stanie wiecznych strat, gdyż inaczej — gdy pewnego dnia wróg stanie u bram — będziemy mieć puste spichlerze. Dowiadujemy się, że państwowe spółki zbrojeniowe są konieczne do utrzymywania w rękach państwa, by nasi żołnierze mieli w ten straszny dzień wojny czym walczyć. Że Polska sama musi budować fabryki amunicji, a wszystkie pieniądze przeznaczone na obronę wpompowywać w polskie firmy, poza jakimkolwiek obiektywnym systemem przetargów, skrojonych pod rzeczywiste potrzeby armii.

To rozumowanie znajdziemy właściwie na wskroś całego polskiego spektrum politycznego. Politycy od Zandberga po Mentzena sprzeciwiają się porozumieniu z krajami Mercosur i pragną dotować wszelką działalność rolników

po wsze czasy, zaś ostatnio co najodważniejsi pragną nawet nacjonalizować nierentowne hipermarkety, by skupywać od rolników żywność po zawyżonych stawkach. Równie potężna międzypartyjna zgoda leży u podłoża pomysłów, by budować w Polsce państwowy przemysł zbrojeniowy. To podejście znaleźć można nawet w opublikowanym przez fundację Liberté!, a ufundowanym przez Atlas Network raporcie, gdzie autorzy piszą, że: *"pojawiające się zapowiedzi rządu dotyczące repolonizacji, polonizacji i zwiększania komponentu krajowego (local content) w polityce przemysłowej są krokiem w dobrym kierunku"*

Tylko, że nacjonalizm gospodarczy jest równie szkodliwy i szalenie niebezpieczny właśnie w przypadku wojny.

Spętana gospodarka na niebezpieczne czasy

Protekcjonizm jest zdecydowanie zbyt niebezpieczny, by pętać nim gospodarkę — szczególnie w obliczu wojny. Przed Polską stoi dość prosty wybór: bezpieczeństwo i przygotowanie na czas wojny albo zabawa w nacjonalizm, protekcjonizm i państwowe molochy.

Sidła protekcjonizmu dość dobrze obrazuje ciekawy przykład z Ameryki. W 2024 roku niektórzy członkowie Kongresu uznali, że amerykańscy żołnierze cierpią na nadmiar wyboru butów, których używają. W imię protekcjonistycznych ideałów postanowili wprowadzić tzw. BOOTS Act, który zakaże żołnierzom używania opcjonalnych butów produkowanych poza Stanami Zjednoczonymi lub produkowanych bez materiałów amerykańskich. W swym uzasadnieniu projektu twierdzą: *"że zagraniczni producenci przejęli rynek obuwia żołnierzy"* ("przejęcie rynku" to protekcjonistyczne określenie na dostarczanie cennego dobra lub usługi w lepszej cenie lub jakości), a uchwalenie ustawy *"wspierałoby krajową produkcję obuwia wojskowego"*.

Jak pisze Colin Grabow z Cato Institute:

> *Wygodna para butów jest niezbędna dla członków sił zbrojnych. Jednak te wydane przez wojsko niekoniecznie najlepiej pasują do każdego z nich. Aby sprostać indywidualnym potrzebom, wojsko zezwala na używanie tzw. opcjonalnych butów kupowanych od sprzedawców spełniających specyfikacje wojskowe. To podejście pozwala osobom w siłach zbrojnych znaleźć najlepiej dopasowane obuwie, jednocześnie zapewniając spełnienie standardów.*

Protekcjonizm stawia więc pożytki wybranych grup interesów ponad dobrostan żołnierzy, chcąc odebrać im dostęp do ekwipunku pozwalającego na odbywanie służby w optymalnych warunkach. To, co widać jak na dłoni w tym przykładzie, jest w zasadzie emblematyczne dla plejady okołowojennego interwencjonizmu. Wskrzeszony na militarne potrzeby merkantylizm staje się w przypadku wojny śmiertelnym zagrożeniem.

Przed takim wyborem stoi Polska. Jeżeli priorytetem dziś będzie stymulowanie krajowej produkcji, a nie rzeczywiste zaspokojanie potrzeb wojska, to ofiarą tej polityki będzie samo wojsko. Polska może albo zacząć efektywnie wypełniać dotkliwe braki amunicji, albo budować od zera własne fabryki amunicji. Polska może albo utrzymywać drogą fikcję żywieniowej autarkii, albo dać polskim konsumentom dostęp do lepszej i tańszej żywności, która będzie najpotrzebniejsza właśnie wtedy, gdy wróg zawita u bram.

W zasadzie wszystkie argumenty przeciwko spółkom Skarbu Państwa odnoszą się również do państwowych producentów uzbrojenia. Panować w nich będą nepotyzm i obsadzanie stanowisk z klucza partyjnego. Nie będą za to poddane dyscyplinie konkurencji, rachunkowi zysków i strat oraz ryzyku bankructwa, które na normalnym biznesie wymuszają efektywność rynkową. Nie ma też powodu, by sądzić, że państwo ma szczególnie dobry ogląd na międzynarodowy rynek zbrojeniowy i że akurat ta dziedzina pozostanie wolna od wpływów korupcyjnych.

Krótkie nawet spojrzenie na dzieje Polskiej Grupy Zbrojeniowej pozwala dostrzec mechanizmy znane z podręczników teorii wyboru publicznego. PGZ została skonstruowana w dużej mierze jako wielki państwowy „worek", do którego wsadzono bardzo różne przedsiębiorstwa. W 2016 r. grupa skupiała około 60 firm. Jak zauważył NIK, konsolidacji nie poprzedzono rzetelną analizą ekonomiczną, nie przygotowano biznesplanu ani strategii. Martwić muszą również późniejsze raporty NIK-u, jak ten z 2021 r., który wskazuje:

> *brak jednolitej strategii działania, nagminne, wieloletnie, niekiedy opóźnienia w realizacji projektów modernizacyjnych i prac badawczych, niedotrzymywanie terminów dostaw uzbrojenia dla Sił Zbrojnych RP (…) brak pełnego i terminowego zaspokajania bieżących potrzeb wojska.*

Nie znaczy to, że krajowy przemysł obronny nie powinien istnieć. Przeciwnie, wręcz należy zrobić wszystko, by prężnie się rozwijał na własnych nogach. Od zaraz właściwie należy go deregulować, dekoncesjonować, a nawet wyłączyć z prawa pracy, procedur środowiskowych, czy rygorów planistycznych. Może trzeba pomyśleć na przykład o stworzeniu specjalnej strefy biznesowej, w której mogłyby one działać bez podlegania setkom tysięcy zbędnych przepisów, którym zwykle podlegają przedsiębiorcy.

Tak, polski przemysł zbrojeniowy winien rozwijać się bez najmniejszych nawet przeszkód. Nie oznacza to jednak, że zamówienia dla wojska mają być realizowane w kraju za wszelką cenę, a w szczególności nie za cenę jakości polskiej obronności.

Ja, pocisk

By zrozumieć pełen obraz szkód wyrządzanych przez te protekcjonistyczno-autarkiczne zapędy, należy cofnąć się do kilku klasyków ekonomii.

Z najprostszą kwestią, czyli samowystarczalnością, rozprawił się Leonard Read w swym klasycznym tekście „Ja, ołówek”, pokazując, jak wiele procesów, surowców, umiejętności i aktów współpracy ludzi z całego świata potrzeba, by wytworzyć nawet tak prosty przedmiot. Dokładnie te same problemy napotka każdy, kto zapragnie osiągnąć pełną niezależność w produkcji na potrzeby wojskowe. Można by się nawet pokusić o pewną parafrazę tego klasycznego tekstu, tym razem z pociskiem w roli głównej:

> *Moje drzewo genealogiczne zaczyna się głęboko pod ziemią. Zaczyna się od rud metali, złóż miedzi, cynku i żelaza, od ropy naftowej i surowców chemicznych rozsianych po wielu krajach świata. Zanim mogłem stać się pociskiem, trzeba było je odnaleźć, wydobyć, oczyścić, przetopić, przetworzyć i przewieźć.*
>
> *Pomyśl o wszystkich maszynach, ciężarówkach, wagonach, statkach, piecach hutniczych, obrabiarkach i niezliczonych innych urządzeniach potrzebnych, zanim mogłem powstać. Pomyśl o wszystkich ludziach i niezliczonych umiejętnościach, które były konieczne do ich wyprodukowania: o górnikach wydobywających rudę, hutnikach wytapiających stal, robotnikach produkujących miedź, inżynierach projektujących maszyny, chemikach*

opracowujących materiały wybuchowe i proch, pracownikach rafinerii, kolejarzach, kierowcach ciężarówek i marynarzach przewożących surowce pomiędzy kolejnymi etapami produkcji. Spośród tych wszystkich milionów ludzi nie ma ani jednej osoby, łącznie z dyrektorem zakładu zbrojeniowego, która posiadałaby więcej niż drobną cząstkę wiedzy potrzebnej do mojego powstania.

A teraz, pomyślmy o wszystkich nieskończenie bardziej skomplikowanych środkach: rakietach, granatnikach, wozach przeciwpancernych, systemach naprowadzania. Już z samego swego założenia więc pokusa autarkizmu jest karkołomna.

Z polityką autarkii mierzył się sam Ludwig von Mises w *Money Method, and the Market Process*:

Z militarnego punktu widzenia zastępowanie właściwych surowców ich substytutami wydaje się więc pod każdym względem niekorzystne. Kiedy państwa centralne przystępowały do wojny w 1914 roku, nie poczyniwszy wcześniej żadnych przygotowań w celu zabezpieczenia dostaw zagranicznych surowców, mogły polegać na ogromnych zapasach tych dóbr, stanowiących normalne rezerwy utrzymywane przez przedsiębiorstwa. Zapasy te wystarczyły na potrzeby pierwszych dwóch lat wojny. Skutkiem polityki samowystarczalności i gospodarczego przygotowania do wojny będzie natomiast to, że w razie nowego konfliktu podobne zapasy niemal nie będą istnieć. Na tym polega paradoks samowystarczalności jako formy gospodarczego przygotowania do wojny: osłabia ona potencjał militarny państwa, czyniąc jego uzbrojenie mniej skutecznym.

Mises zauważa też, że choć państwa pragnące samowystarczalności mogą zastąpić część importowanych surowców i artykułów żywnościowych produkcją krajową, która dostarczy im droższych i mniej skutecznych zamienników niż dobra, których importu chcą uniknąć, to ich rozumowanie, że w czasie wojny nie będą cierpieć z powodu ich braku, jest błędne:

Nie jest prawdą, że nie ma znaczenia, czy produkcja materiału potrzebnego do prowadzenia wojny jest droższa czy tańsza. Wyższe koszty produkcji oznaczają, że ta sama ilość kapitału i

pracy daje mniejszy rezultat. Jeżeli państwo prowadzące wojnę musi zużyć więcej kapitału i pracy, aby uzyskać określoną ilość danego materiału, będzie gorzej zaopatrzone niż jego przeciwnicy. Szczególnie dotkliwy jest fakt, że do wyprodukowania tej samej ilości dóbr trzeba zatrudnić więcej ludzi. Tych dodatkowych rąk zabraknie w okopach, ponieważ człowiek nie może jednocześnie walczyć i pracować. Już podczas wojny światowej państwa centralne odczuwały jako poważne utrudnienie to, że produkcja sprzętu wojennego pochłaniała zbyt wielu młodych mężczyzn.

Istnieje jeszcze druga poważna niedogodność. Substytuty gorzej nadają się do zastosowania niż materiały, które mają zastępować. Gdyby nie były gorsze, nie byłyby substytutami, lecz właściwym materiałem i przeciwnik również by ich używał. Fakt, że jedna ze stron zmuszona jest korzystać z mniej odpowiednich materiałów, stanowi poważne obciążenie. Lepiej wyposażona strona odnosi dzięki swemu wyposażeniu zarówno przewagę moralną, jak i materialną. Nawet najlepszą armię demoralizuje świadomość, że jej przeciwnicy są lepiej żywieni, lepiej uzbrojeni i lepiej chronieni przed wszelkimi niebezpieczeństwami. Nic podczas wojny światowej nie zniechęcało żołnierzy państw centralnych bardziej niż odkrycie, po zdobyciu okopów aliantów, że ich przeciwnicy byli lepiej uzbrojeni, wyposażeni i żywieni niż oni sami.

Krytyka Misesa okazuje się wręcz bezlitosna, gdy odnieść ją do dzisiejszego politycznego konsensusu. Mises słusznie zwraca też uwagę, że niedoborów kluczowych surowców nie da się po prostu przezwyciężyć decyzją polityczną:

Ekonomiczną cechą współczesnych społeczeństw przemysłowych jest to, że nie mogą one obejść się bez importu surowców, za które płacą eksportem wyrobów przemysłowych. Współczesne kraje przemysłowe znajdują się zatem wobec reszty świata w takiej samej sytuacji, w jakiej ośrodki przemysłowe znajdują się wobec rolniczych i surowcowych regionów własnego kraju. Tak jak niemożliwe jest, aby miasto prowadziło wojnę z obszarem wiejskim, który dostarcza mu żywności i surowców, tak samo

> *niemożliwe jest, aby kraj przemysłowy prowadził wojnę z resztą świata.*

Jakby świadomi tych prawidłowości, współcześni autarkiści obsesyjnie skupiają się więc na kilku zaledwie „fetyszyzowanych" sektorach (w USA jest to chociażby produkcja statków cywilnych), których znaczenie wcale nie jest tak wielkie, a które w warunkach pełnej izolacji handlowej popadłyby w zapaść niemal równie szybko jak pozostałe gałęzie gospodarki.

Najnowsze badania dobitnie pokazują, że mechanizmy opisywane niegdyś przez Ludwiga von Misesa, wciąż działają we współczesnej gospodarce. Przykładowo, opublikowana w 2024 roku praca Banku Światowego „Trade Policy and Food and Nutrition Security in an Era of High Commodity Prices and Uncertainty" wykazała na przykładzie pandemii COVID-19 i wojny na Ukrainie, że międzynarodowy system żywnościowy okazał się stosunkowo odporny właśnie dzięki możliwości przekierowywania handlu i zmiany dostawców.

> *Globalny system handlu wykazał się odpornością na niedawne, poważne wstrząsy. Ostatnie wyzwania, w tym pandemia COVID-19 oraz rosyjska inwazja na Ukrainę, wystawiły na próbę odporność międzynarodowego systemu żywnościowego. Pomimo znacznych początkowych zakłóceń system okazał się odporny, a inicjatywy takie jak unijne korytarze solidarności oraz Inicjatywa Zbożowa Morza Czarnego pomogły utrzymać przepływ zbóż i uniknąć poważnych niedoborów. Ogólne przekierowanie handlu od innych eksporterów, zwłaszcza z Ameryki Północnej i Europy, również pomogło wypełnić powstałą lukę i zapobiec poważnym niedoborom. Ta odporność przemawia przeciwko traktowaniu krajowej samowystarczalności jako miary bezpieczeństwa żywnościowego i żywieniowego [FNS].*

Autorzy wprost konkludują, że doświadczenia te przemawiają przeciwko traktowaniu krajowej samowystarczalności jako miary bezpieczeństwa żywnościowego. Równie istotny jest ich wniosek dotyczący roli handlu międzynarodowego w łagodzeniu wpływu szoków geopolitycznych na bezpieczeństwo żywnościowe.

> *Handel międzynarodowy pomógł państwom łagodzić skutki niedawnych wstrząsów geopolitycznych dla bezpieczeństwa*

> *żywnościowego i żywieniowego. Po początkowym szoku dostawy zbóż podlegały normalnym wahaniom sezonowym, jednak nie odnotowano spadkowego trendu w handlu. Powrót do względnej normalności sprzed wojny trwał w niektórych przypadkach kilka miesięcy, ale w żadnym regionie nie doszło do długotrwałego ograniczenia importu.*

Podobnie badania OECD z 2020 i 2025 roku pokazują, że przenoszenie na siłę produkcji z powrotem do kraju, czyli tzw. relokalizacja, czyni większość badanych gospodarek nie tylko mniej efektywnymi, lecz także mniej stabilnymi. Utrata międzynarodowej dywersyfikacji ogranicza bowiem możliwość zastąpienia źródła dostaw dotkniętego szokiem innym dostawcą, a tym samym zwiększa podatność gospodarki na zakłócenia.

> *Modelowanie przedstawione w raporcie wskazuje, że relokalizacja produkcji mogłaby zmniejszyć światowy handel o ponad 18 proc. oraz globalny realny PKB o ponad 5 proc., nie przynosząc przy tym konsekwentnej poprawy odporności gospodarek.*

Scenariusz permanentnej izolacji

U jądra argumentu protekcjonistów znajduje się scenariusz permanentnej izolacji państwa, wizja odcięcia polskiej gospodarki od wszelkiego importu. Dlaczego właściwie jednak w trakcie wojny Polska również nie mogłaby sprowadzać broni z zagranicy?

Oczywiście, wojna wiąże się z załamaniem łańcuchów dostaw, ale to raczej argument za tym, by zawczasu zgromadzić odpowiednie rezerwy. Jeżeli wróg będzie zdolny do przerwania dróg zaopatrzeniowych towarów do Polski, to oznacza to, że w istocie nie mamy żadnego panowania nad polskim niebem i morzem. Oznacza to więc też, że niezdolni bylibyśmy do obrony polskich fabryk broni czy spichlerzy. W tym najgorszym scenariuszu wojenny protekcjonizm okazuje się więc niemal całkowicie bezużyteczny.

Ciekawa w tym kontekście jest praca dr. Marii Gumsbergh, która napisała pracę *Trade in War: Economic Cooperation across Enemy Lines*. W artykule dla Foreign Affairs argumentuje ona, że częstokroć nawet kraje w stanie otwartej wojny nie urywają w pełni swych kontaktów handlowych.

> *U podstaw tego lęku leży proste, niepodważalne założenie: gdy zaczyna się wojna, handel się kończy (...) kraje walczące mogą nadal utrzymywać więzi handlowe. Państwa często kontynuują handel między sobą nawet podczas wojny. Od wojny krymskiej w 1854 roku strony walczące w większości wojen wielkich mocarstw decydowały się zachować swoje więzi handlowe. Rosja podczas wojny krymskiej, na przykład, nadal sprzedawała Wielkiej Brytanii wiele surowców potrzebnych Brytyjczykom do produkcji przemysłowej. Na początku I wojny światowej, jednego z najkrwawszych konfliktów w nowożytnej historii, Wielka Brytania zezwoliła na eksport karabinów maszynowych swoim wrogom. Podczas wojny indyjsko-pakistańskiej w 1965 roku Indie eksportowały stal, żelazo i węgiel do Pakistanu.*

Jeżeli więc nawet państwa pozostające ze sobą w stanie wojny często nadal prowadzą wzajemny handel, tym bardziej można zakładać, że nawet najbardziej nieprzychylne państwa ościenne pozwolą na tranzyt dostaw broni z zagranicy. W przypadku Polski zaś, nie da się nakreślić scenariuszy, w których nasze możliwości handlowe byłyby istotnie zachwiane. Jesteśmy otoczeni państwami należącymi do NATO i Unii Europejskiej oraz mamy dostęp do morza. Nie ma powodu, by szykować się na najbardziej nieprawdopodobne okoliczności w momencie, gdy nie jesteśmy gotowi na najbardziej oczywiste zagrożenia.

Naturalnie, brak takiej potrzeby nie jest kwestią uniwersalną — są kraje, w których samowystarczalność ma pewne uzasadnienie, jak choćby Finlandia czy Estonia, które hipotetycznie mogłyby zostać odcięte od łańcuchów dostaw z krajów ościennych za pomocą stosunkowo prawdopodobnych wrogich manewrów. Czy też wyspy takie jak Tajwan, które mogłyby mierzyć się z długotrwałą blokadą morską. Nie jest to jednak sytuacja, w której znajduje się Polska.

Nasz kraj nie może pozwolić sobie na model autarki dający nam pełną wystarczalność na wypadek zamarcia wolnego handlu z całym światem. Zresztą złudną jest myśl, że tenże zew autarkii ma jakikolwiek kres. Jeżeli damy się zwieść wizji samowystarczalnego rolnictwa, szybko okaże się, że rolnik nie weźmie pługa na plecy, lecz potrzebuje ciągłych dostaw paliwa. Równie szybko mogą skończyć się nawozy czy środki ochrony roślin. A co, jeżeli zepsuje się traktor?

Nawet syty polskim ziemniakiem mieszkaniec oblężonego kraju będzie musiał umyć zęby, a do tego potrzebuje szczoteczki i pasty. Polacy nadal będą potrzebowali lekarstw oraz zaawansowanych technologii, takich jak komputery i telefony. I również tutaj znajdą się protekcjoniści, jak prof. Bartoszewicz, domagający się krajowej produkcji leków. Właściwie nie sposób wskazać miejsca, w którym logika autarkii miałaby się zatrzymać.

I dlatego walczyć o nieskrępowane działanie rynku należy w każdej tej dziedzinie. Nawet w dzisiejszej sytuacji pokusić by się można na prywatyzację Polskiej Grupy Zbrojeniowej. Niech prywatny przedsiębiorca, ryzykujący własnym kapitałem, znajdzie najlepszy sposób, by w razie ewentualnej wojny „dostarczyć" na Kreml dziesiątki tysięcy dronów z wybuchowym ładunkiem. Należy odebrać przywileje i subsydia nadane rolnikom, by ci w końcu stanęli do uczciwej walki o konsumenta.

W pełni rozumiem panujące w Polsce polityczne realia. Wydatki na zbrojenia łatwiej sprzedać swym wyborcom, jeżeli stworzy się wizję tworzenia potęgi polskiego przemysłu zbrojeniowego i stymulowania gospodarki. Lecz póki politykiem nie jestem, mogę pisać i błagać polityków, by ponad doraźne potrzeby wyborcze wybrali dobrostan polskiego żołnierza, obywatela i konsumenta.